

# DENISE HUNTER

PRZEŁĘCZ

*Riverbend*

---

ROMANS W RIVERBEND

---



d

PRZEŁĘCZ  
*Riverbend*



DENISE  
HUNTER

Tłumaczenie: *Joanna Olejarczyk*

**Tytuł oryginału:***Riverbend Gap***Autor:**

Denise Hunter

**Tłumaczenie z języka angielskiego:**

Joanna Olejarczyk

**Redakcja:**

Natalia Chrobak-Lechoszest

**Korekta:**

Dominika Wilk

**Skład i opracowanie graficzne:**

Anna Brodziak

Projekt okładki: © Faceout Studio, © Thomas Nelson, HarperCollins

Christian Publishing Inc.

Zdjęcie na okładce: © Shutterstock

Wektory: freepik / Freepik.com

ISBN 978-83-66977-39-6

© 2021 by Denise Hunter by Thomas Nelson, HarperCollins Christian Publishing Inc.

© 2022 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak

ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów

www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2022, wydanie I

Druk: Drukarnia Skleniarz

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book cream 2,0 70 g/m<sup>2</sup>

dostarczonym przez Antalis Poland sp. z o.o.



Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

**OD AUTORKI****Droga Przyjaciółko!**

Rozpoczynanie pracy nad nową serią zawsze jest dla mnie takie ekscytujące! Tym razem akcja toczy się w małym miasteczku w Karolinie Północnej, położonym na Szlaku Appalachów, a jej bohaterami są mieszkający w nim członkowie rodziny Robinsonów.

Pierwsza wizja tej serii naszła mnie, kiedy przebywałam w Georgii i zbierałam materiały na serię Copper Creek. Całkiem przez przypadek dowiedziałam się, że Szlak Appalachów zaczyna się w pobliskim miasteczku, więc postanowiłam to sprawdzić. Od tamtej pory zaczęłam interesować się tym szlakiem. Ma on ponad dwa tysiące mil, a co roku jego część pokonują trzy miliony osób. Ponad cztery tysiące z nich to ludzie, którzy wędrują od początku do końca (z Georgii do Maine), ale tylko jeden na czterech dociera do celu – dzieje się tak z powodu kontuzji, złej pogody lub słabej kondycji. Niektórzy szukają na szlaku wyzwania albo ucieczki od stresu wielkomiejskiego życia. Inni chcą się odciąć od technologii lub próbują uleczyć złamane serce.

Wzdłuż szlaku znajdują się miasteczka, które zaopatrują turystów, a tym, którzy chcą pokonać całą trasę, mieszkańcy dodają otuchy w tej niesamowitej wyprawie. Jednym z takich miast jest Hot Springs w Karolinie Północnej, które stanowiło inspirację dla mojego fikcyjnego Riverbend.

Mam nadzieję, że poznawanie Szlaku Appalachów sprawi Ci radość oraz że pokochasz to miasteczko i jego mieszkańców tak bardzo jak ja.

Serdeczności!  
Denise

## ROZDZIAŁ PIERWSZY



*Będzie siniak.*

Katelyn Loveland wcisnęła hamulec swojej hondy civic. Od siły uderzenia jej poduszka powietrzna mogła wybuchnąć i uderzyć ją w twarz, a wtedy na spotkaniu z rodziną swojego partnera Katie wyglądałaby jak potwór.

Skręciła gwałtownie w lewo.

- Nie, nie, nie! - Pisk opon złał się z jej krzykiem.

Minęła jelenia na centymetry.

*Dzięki Ci, Jezu!*

Opony samochodu ześliznęły się za krawędź jezdni. Skręciła kierownicę, ale za mocno. Oddech uwiązał jej w płucach.

Zaczęła kręcić się w kółko, a świat zawirował zielenią, brązem i błękitem. Strach przeszył ją do szpiku kości.

Katie zeszytniała, szykując się na nieuniknione uderzenie o barierkę, drzewo albo skały. Szykując się na poduszkę powietrzną, ból, sińce.

Ale zamiast tego gałęzie złapały samochód w swoje szpony niczym niedźwiedź, drapiąc i skrzypiąc. Honda pochyliła się do przodu.

Krzyk.

A potem nagle auto stanęło.

Uniosła oczy, oddychając niespokojnie. Powoli rozluźniła palce na kierownicy i odchyliła się do tyłu na fotelu. Miała zawroty głowy. Czuła ból. Dotknęła skroni, a jej palce zrobiły się lepkie i czerwone. Musiała uderzyć się w kierownicę. Poduszka powietrzna jednak się nie otworzyła.

*Nic mi nie jest.*

Wzięła głęboki oddech i spróbowała ocenić sytuację. Pod maską syczało. Pod niebo unosił się dym. Silnik nie działał. Sięgnęła do stacyjki i przekręciła kluczyk.

Nic.

No dobrze, nie podjedzie pod dom zepsutym samochodem – znowu dotknęła czoła – i z urazem głowy. Ale będzie posiniaczona i spóźniona. Nie było mowy o zrobieniu dobrego wrażenia. Musiała zadzwonić do swojego chłopaka; będzie musiał po nią przyjechać.

Telefon miała w torebce, która była... Gdzie? Tam, na podłodze pod siedzeniem pasażera. Wszystko się z niej wysypało. Katie odpięła pas i sięgnęła po komórkę.

Samochód przechylił się jeszcze mocniej w przód.

Zastygła, a serce waliło jak oszalałe. *Zapomnij o telefonie.* Co się działo? Czy auto się chwiało? Czy mogła się poruszyć?

Powoli, nie oddychając, wyprostowała się na siedzeniu.

*Dobry Boże, co się dzieje?*

Wyjrzała przez przednią szybę. Ciemny błękit popołudniowego nieba zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Odważyła się pochylić o kilka centymetrów i wstrzymując oddech, szukała wzrokiem ziemi przed autem.

Ale jej tam nie było.



Cooper Robinson wziął zakręt, czując pod sobą silnik swojego triumpfa street twin. Owiewał go gorący sierpniowy wiatr, niosący zapach sosen. Jazda przynosiła mu spokój, opanowanie i poczucie wolności. Dźwięk silnika i wibracje motocykla były dla jego duszy jak tlen. Jazda była jego terapią. Jego myśli krążyły dzisiaj wokół rodziny i raczej nie współgrały z tym spokojem, którego szukał.

Szczególnie trudne były myśli o jego bracie Gavinie, a te towarzyszyły mu często, odkąd brat rok temu się rozwiódł. A nawet jeszcze wcześniej – od śmierci jego synka. Te dwa tragiczne wydarzenia były jak ogniwa łańcucha – jedno doprowadziło do drugiego.

Kiedy Gavin przeprowadził się do domu rodzinnego, Robinsonowie otoczyli go wsparciem i opieką. Chociaż niewiele to dało. Dopiero od niedawna Gavin dochodził do siebie – ale nie dzięki wysiłkom rodziny.

Cooper przyspieszył na kolejnym zakręcie, próbując się odprężyć. Zazwyczaj nic tak dobrze nie oczyszczało jego umysłu jak jazda po górach otaczających Riverbend, miasteczko ukryte głęboko w Appalachach.

Pokonawszy zakręt, wyprostował motocykl i zauważył ślady ostrego hamowania tuż przed sobą. Widywał je bez przerwy na tutejszych krętych drogach – turyści źle oceniali ostre zakręty pomimo znaków ostrzegawczych.

Ale te ślady były na prostej drodze i wyglądały na świeże; nie zgłoszono tutaj żadnego wypadku. Sądząc po śladach wytracania prędkości na poboczu, prawdopodobnie ktoś próbował wyminąć jelenia albo inne dzikie zwierzę.

Pomimo braku ciała zwierzęcia Cooper zwolnił, szukając wzrokiem pojazdu.

Coś zostawiło ślad na żwirze za krawędzią jezdni i na chodniku tuż za nim. Ktoś stracił panowanie.

A tam, kawałek dalej na lewo – dostrzegł wyrwę w zaroślach, mniej więcej na szerokość samochodu. Zwolnił jeszcze bardziej i podjechał do tego miejsca. Ślady opon prowadziły w zarośla. *Niewielki samochód* – pomyślał, zgadując na podstawie rozmiaru śladów w błocie. Poczuł ciężar w żołądku – tuż za krzakami zaczynało się strome urwisko.

Zjechał z drogi, by uniknąć kolejnego wypadku, zsiadł z motocykla i zdjął kask. Prawdopodobnie najgorsze już minęło i teraz pozostało tylko śledztwo i być może pogrzeb.

Wyjął telefon, przedzierając się przez krzaki. Brak sygnału. A ponieważ nie był na służbie, nie miał ze sobą radia.

Jego uwagę przykuł błysk czegoś srebrnego. Schował telefon do kieszeni, przeciskając się przez gęste zarośla. Gałęzie kłuły go w szyję i drapały w ręce, ale parł naprzód, zbliżając się do samochodu.

Honda civic ze zgaszonym silnikiem. Tablice z Karoliny Północnej. Tylne koła – o kurczę – kilka centymetrów nad ziemią.

- Halo? - Przedarł się przez niskopienny krzew rosnący przy boku auta. - Słyszysz mnie?

- T... tak, słyszę - odpowiedziała jakaś kobieta.

- Nie ruszaj się. Już idę. - Odsunął gałąź i przesunął się naprzód, aż znalazł się obok samochodu. Potem ukląkł i ocenił sytuację.

Przednie opony zjechały za krawędź urwiska. Maskę sedana była skierowana w dół, a auto balansowało na podwoziu.

Pojazd i kierowca spadliby w przepaść – jakieś 15 metrów – gdyby nie samotne drzewo wyrastające ze zbocza urwiska. Jakiś czas temu się złamało i teraz miało półtora metra wysokości. Nie wyglądało na dość mocne, by utrzymać ciężar samochodu. Jeden drobny ruch mógł sprawić, że auto runie w przepaść.

- Nie ruszaj się. - Cooper wstał i podszedł do drzwi kierowcy.

Popatrzył przez otwarte okno. Drobna blondynka po dwudziestce. Przyjrzał się jej. Niewielka rana na czole. Gapiła się przerażona przez przednią szybę.

- Wszystko będzie dobrze. Mam na imię Cooper, a ty?

- Katelyn. Czy ty... Możesz mnie stąd wyciągnąć? - Głos jej drżał. - Nie umiem otworzyć drzwi.

- Jestem zastępcą szeryfa, Katelyn. Wyciągnę cię stąd, ale musisz mi pomóc. - Spojrzał na drzwi, którymi samochód wbił się w duży kamień. - Te drzwi są wgniecione. Masz telefon?

- Tak. Leży tam, na podłodze.

- Siedź spokojnie, dobrze? Przejdę na drugą stronę i go wezmę.

Miał nadzieję, że złapie sygnał, chociaż było to mało prawdopodobne, skoro sam nie miał zasięgu.

Obszedł auto tak szybko, jak umiał. Kiedy podszedł do drzwi pasażera, zauważył, że są sprawne.

- Otworzę teraz i wezmę twój telefon. - Ostrożnie złapał za klamkę i powoli uchylił drzwi. Jak na razie wszystko szło dobrze. Sięgnął po urządzenie, uważając, by nie wywierać żadnego nacisku na samochód. Kiedy je chwycił, spojrział na ekran. Potem popatrzył na Katelyn, która wbijała

w niego wzrok, jakby był jej ostatnią nadzieją. - Brak sygnału.

Nie był pewien, czy auto jest dość stabilne, by bezpiecznie ją z niego ewakuować, ale nie miał łańcucha ani nawet liny, żeby je zabezpieczyć. Musiał ją wyciągnąć, zanim drzewo się złamie.

- Okej, posłuchaj, zrobimy tak: bardzo powoli przejdiesz nad środkową konsolą.

W jej niebieskich oczach zobaczył paniczny strach.

- Boję się ruszyć. Kiedy sięgnęłam po telefon, auto się przechyliło.

- Tym razem przeniesiesz cały ciężar ciała na oparcie fotela. A gdy przejdiesz nad konsolą, złapię cię i wyciągnę. Dasz radę, Katelyn.

Wyraz jej twarzy się zmienił, w jej oczach błysnęła determinacja, zacisnęła zęby. Skinęła głową, a potem powoli podniosła nogę. Przełożyła ją nad dźwignią hamulca ręcznego i gałką skrzyni biegów. Powoli wypuszczając powietrze, opuściła stopę, aż zawisła z drugiej strony. Przełykała nerwowo ślinę.

- Dobra robota, Katelyn. Świetnie sobie radzisz. A teraz musisz się unieść nad konsolą. Ciężar ciała do tyłu.

- Do... dobra.

Położyła dłoń na konsoli i zastygła na chwilę. A potem zaczęła się podnosić, przyciskając plecy do oparcia fotela.

- Właśnie tak. Świetnie.

Jeszcze kilka centymetrów i uda mu się jej dosięgnąć. Załatwi to szybko i nawet jeśli auto...

Samochód zaskrzypiał i przechylił się do przodu.

Katelyn wrzasnęła.

Cooper rzucił się całym ciałem na bagażnik. Tył samochodu opadł o kilka centymetrów i ustabilizował się. Mężczyzna wypuścił powietrze. Pot zrosił mu kark.

- Halo? - usłyszał jej drżący głos. - Jesteś tam?

- Jestem. W porządku, wszystko będzie dobrze.

Mogłaby spróbować się ewakuować, podczas gdy on dociąłby tył auta. Ale nawet teraz tylne koła były zawieszony nad ziemią. Czuł, jak pojazd się pod nim kołysze.

Auto było w zbyt niebezpiecznej pozycji, by mogła się w nim przemieszczać. Potrzebna była lina zabezpieczająca. Co oznaczało, że potrzebował wozu strażackiego. Co z kolei oznaczało, że będzie musiał pojechać po pomoc.

- Podniosę się teraz z samochodu, dobrze, Katelyn? Może się trochę poruszyć, ale nie spadniesz. - *Proszę, Boże.*

- Okej. - Wiatr przyniósł dźwięk jej szeptanych modlitw.

Cooper opuścił się, aż w końcu dotknął stopami ziemi. Powoli uniósł ciężar ciała z samochodu. Podskoczył pod nim jak spławik wędkarski.

Katelyn wciągnęła głośno powietrze.

*Proszę, Boże* - powtórzył błagalnie w myślach, ostrożnie zdejmując resztki swojego ciężaru z auta. Pojazd lekko się zakołysał, a potem znieruchomiał jak równo zbalansowana waga.

Podszedł do drzwi kierowcy.

- Katelyn, jesteś ze mną?

- Tak. - Znowu siedziała na miejscu kierowcy, przyciskając się mocno do tyłu i gapiąc przez przednią szybę.

- Masz automatyczne szyby?

- Tak. Czy teraz jest dobry moment, żeby się przyznać, że mam lęk wysokości?

- Nie spadniesz, Katelyn.  
- Jak... głęboko tam jest? To zwykły wawóz, czy coś w stylu Half Dome?

- No wiesz, mogłabyś okazywać mi więcej wiary. Ranisz moje uczucia.

Zerknęła na niego i dostrzegł w jej oczach błysk rozbawienia.

- Zapniemy ci pas, dobrze? Pozwól mi. - Sięgnął do środka przez okno i chwycił klamrę. Potem przeciągnął ją przez jej ciało i pochylił się. Poczł jej zapach - pomarańcze i słońce. Skupił się na swoim zadaniu, choć tak naprawdę miał ochotę przyjrzeć się jej twarzy. Klamra wsunęła się do zapięcia z kliknięciem.

Odchylił się i popatrzył jej w oczy.

- No i gotowe. Posłuchaj, Katelyn... Musisz posiedzieć tu bez ruchu, kiedy ja pojedę po pomoc.

- Nie. Nie jedź, proszę.

- Nie mamy telefonu - dodał spokojnie. - A ja nie mam możliwości zabezpieczyć samochodu.

Posłała mu takie spojrzenie, że poczuł, jak cały mięknie.

- Proszę, nie zostawiaj mnie.

- Pojadę tylko kawałek. Złapię kogoś na drodze i wyślę po pomoc. Nie będę się oddalać i zaraz wrócę.

Na drodze zwykle był spory ruch, ale dzień się kończył, a on nie słyszał ani jednego przejeżdżającego samochodu.

Kobieta zamknęła oczy, a jej ciemne rzęsy musnęły czubki policzków. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała szybko, a palce zaciskały się do białości na bokach siedzenia.

- Katelyn. - Pochylił się, aż jego twarz znalazła się tylko kilka centymetrów od niej. - Musisz mnie posłuchać.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego z lękiem i bezradnością.

- Pozwól mi zrobić, co do mnie należy, dobrze? Tak się składa, że jestem w tym świetny. Wrócę zaraz, gdy tylko wyślę kogoś po pomoc. Dotrzymasz mi towarzystwa, prawda?

- Ja... Tak właściwie to nigdzie się nie wybieram. - Jej usta drgnęły w próbie uśmiechu.

- To mi się podoba. Zaraz wracam. - Skinął pewnie głową i wycofał się przez zarośla. - Pomyśl o tym wszystkim, co mi opowiesz. Chcę wiedzieć o tobie wszystko: pikantne szczegóły, trupy w szafie i wszystko, co dobre. Jasne?

- Okej - odparła, ale prawie jej nie słyszał.

Wyminął auto i poruszał się tak szybko, jak potrafił, cały czas myśląc o tym, że samochód wraz ze swoją słodką właścicielką może w każdej chwili runąć na dno przełęczy.



## ROZDZIAŁ DRUGI



- No dobrze, Boże, bo to jest tak... - szepnęła Katie, rozluźniając pięści i uważając, by siedzieć zupełnie nieruchomo. - Jestem teraz całkowicie zdana na Twoją łaskę. Tak, wiem. Zawsze tak było, ale... Teraz dosłownie balansuję na krawędzi przepaści, Boże.

Popołudniowy skwar rozgrzewał auto i jej szyję zrosił pot. Nie było wiatru, ale pewnie powinna być za to wdzięczna. Silny podmuch mógłby strącić ją ze skalnego występu. Ścisnęło ją w żołądku na tę myśl. To było o wiele, wiele gorsze od przerażających rollercoasterów, na które zaciągał ją brat.

Mówiła sobie, że wszystko będzie dobrze. Zastępca szeryfa wróci i przyprowadzi pomoc. Właściwie jak długo go nie było? Pewnie tylko kilka minut. Zamknęła oczy, świadoma każdego swojego oddechu – bo każdy mógł być jej ostatnim.

Nie, nie mogła tak myśleć. Radosne myśli. Pozytywne myśli. Opanowane spojrzenie zastępcy szeryfa. Jego pewność siebie. Zwinne dłonie. Tak, teraz lepiej. On niedługo wróci. To jego praca, prawda?

Zakręciło jej się w głowie. Łapczywie wciągnęła powietrze. To nie był dobry moment na hiperwentylację.

*Weź się w garść, Katelyn Elizabeth Wallace.*

Oczywiście teraz nazywała się Loveland – zmieniła nazwisko, kiedy skończyła osiemnaście lat – ale w jej głowie rozbrzmiał głos matki zastępczej, ostrzegający ją w znajomy sposób pełnym imieniem i nazwiskiem. To wspomnienie niemalże wywołało uśmiech na jej twarzy, gdy próbowała spowolnić oddech.

Wdech przez nos, wydech przez usta. Raz. Dwa. Trzy.

Przed przednią szybą w jej pole widzenia wleciał jastrząb, a światło słońca prześwitywało przez jego czerwony ogon. Szybował wysoko w powietrzu z szeroko rozłożonymi skrzydłami, a potem zapikował, prawdopodobnie daleko w dół.

Dlaczego to dzieje się akurat teraz, kiedy w końcu udało jej się zacząć wszystko od nowa? Kiedy znalazła nowe miasteczko, nowy dom, pracę, którą lubiła, i porządnego mężczyznę?

Coś spłynęło jej po skroni – krew. Za bardzo się bała, by ją otrzeć. Najlepiej, jeśli będzie siedzieć bez ruchu z nadzieją na ratunek.

Gdzie się podziewał Superman, kiedy był potrzebny?

Na pobliskiej gałęzi zaćwierkał ptak. Katie postanowiła skupić się na dźwiękach. Znowu zamknęła oczy, z ulgą blokując sobie widok roztaczającej się przed nią wielkiej otchłani. Liście nad jej głową szeleściły. Gdzieś popiskiwała wiewiórka. Pień drzewa skrzypiał.

Gałęzie trzaskały, a zarośla zaszeleściły. Dźwięki robiły się coraz głośniejsze.

- To ty? Wróciłeś?

- Ja. Dzięki, że zaczekałaś.  
Przez jej żyły przepłynęła fala ulgi.  
- Zamierzałam sobie pójść i wystawić cię do wiatru, ale nie jestem taka.  
- Wiedziałem, że się co do ciebie nie pomyliłem. - Pojawił się za jej oknem z błyskiem w oczach.  
- Czy pomoc już jedzie? Proszę, powiedz, że tak. To jedyna akceptowalna odpowiedź.  
- Na szczęście zatrzymałem jakiegoś faceta. Jedzie teraz do doliny i zadzwoni po pomoc od razu, gdy złapie sygnał.  
Dolina była dwadzieścia minut jazdy stąd. Katie poczuła ciężar w żołądku.  
- No co? Boisz się, że zanudzę cię opowieściami z dzieciństwa? - Usiadł na kamieniu przy jej drzwiach i oparł łokcie na kolanach, jakby siedział na ganku, a nie na krawędzi urwiska. - Strażacy z Riverbend będą tu, zanim się zorientujesz. Zawsze są gotowi wyruszyć. Może nawet nie będziemy mieli dość czasu, by porządnie się poznać.  
Był naprawdę przystojny z tym koślawym uśmiechem. Miał ciemnobrązowe włosy, na tyle długie, by mogły być niesforne (a w tej chwili również przyprószone pyłem). Jego brązowe oczy były osadzone głęboko pod bujnymi brwiami. Miał ostrą linię szczęki i lekki zarost na pograniczu kilkuniedniowego i regularnej brody.  
No cóż, przecież chciała czegoś, co odwróci jej uwagę.  
Pomyślała o swoim partnerze i wzdygnęła się. Powinna już być na miejscu – kontaktowała się z nim zaledwie piętnaście minut przed wypadkiem. Na pewno się martwił, a ona nie miała jak go powiadomić. Ale przecież musiała zrobić sobie fryzurę, prawda?

- To co dla mnie masz? - spytał Cooper.  
- Co?  
- Miałaś podzielić się ze mną całym brudem, pamiętasz?  
- Pamiętam tę rozmowę, ale niestety całkowicie wyzbyłam się brudów.  
- Czym się zajmujesz w życiu, Katelyn?  
- Jestem pielęgniarką. Gdybym miała przy sobie narzędzia, sama zaszyłabym sobie czoło.  
Pochylił się i przyjrzał jej ranie.  
- Nie sądzę, żeby trzeba było zakładać szwy. Ale będziesz miała wielkiego siniaka. I pewnie będzie cię boleć głowa. Skąd jechałaś? Z Walnut? Z Marshall?  
- Z Asheville. Mój fryzjer... To była wielka pomyłka. Przyjrzał się uważnie jej pofalowanym włosom.  
- Jak dla mnie nie wygląda na pomyłkę.  
Coś połaskotało ją w brzuchu.  
- No cóż, skończyłam na krawędzi przepaści, więc...  
- Asheville... Twoja rodzina stamtąd pochodzi?  
- Nie mam rodziny.  
- Nie masz rodziców? Rodzeństwa?  
- Mam rodziców zastępczych i mnóstwo przyrodnich braci i siostr. - Przerwała, po czym ciągnęła dalej: - Miałam brata... Byliśmy sobie bardzo bliscy.  
- Opowiedz mi o nim.  
Zazwyczaj nie rozmawiała o swoim bracie. Ale zazwyczaj nie wisiła na krawędzi przepaści.  
- Miał na imię Spencer. Był moim najlepszym przyjacielem. Był skryty i stronił od ludzi, ale kiedy już się go poznało... W głębi ducha był poczciwy. I taki kreatywny! Potrafił wziąć do ręki jakiś instrument i nauczyć się na nim grać.

- Brzmi jak ktoś, z kim mógłbym się zaprzyjaźnić.  
Uśmiechnęła się. Doskonale to ujął.  
- A co z twoją rodziną? - spytała. - Pochodzą stąd?  
- Tak. Jesteśmy zżyci, choć moje rodzeństwo czasem zachowuje się jak wrzód na tyłku.  
- Masz starsze czy młodsze rodzeństwo?  
- Jestem środkowym dzieckiem.  
- Ach... Środkowe dziecko.  
- Wcale nie jestem zazdrosny i spragniony uwagi. A twój brat był starszy czy młodszy?  
- O dwa lata młodszy.  
- Jesteś najstarsza z rodzeństwa. Czyżbyś była zdeterminowana i kompulsywna, Katelyn? I zawsze musisz mieć rację?  
- Ja chyba też wyłamalam się ze schematu. Pewnie moje dzieciństwo miało z tym coś wspólnego. Posiadanie tuzi na przyrodnich braci i siostr zaburza naturalny porządek rzeczy. Nie patrz tak na mnie. Ja i mój brat byliśmy kochani. Clemsonowie to dobrzy ludzie. Trafiliśmy do nich, gdy miałam osiem lat. Prowadzą stację benzynową w Asheville.  
Na myśl o Jill i Jamesie ścisnęło ją w żołądku. Pojechała do miasta do fryzjera i nawet nie miała czasu się z nimi zobaczyć. Czy powiedziała im kiedyś, jak wiele znaczyły dla niej ich wsparcie i miłość? Ile znaczyły dla Spencera?  
- Jestem okropnym człowiekiem - wymamrotała.  
- Co?  
Spuściła powieki.  
- Możesz otworzyć notatki w moim telefonie?  
- Czy to właśnie teraz wyjawisz mi wszystkie brudne tajemnice? - Wyciągnął komórkę z kieszeni, dotknął ekranu i wyczekująco uniósł na nią wzrok.

- Chcę zostawić liścik dla moich rodziców zastępczych.  
Humor zniknął z jego twarzy. Spojrzał spode łba, opuszczając dłoń z telefonem.  
- Nie musisz tego robić. Możesz im powiedzieć wszystko, co chcesz, kiedy następnym razem się zobaczycie.  
Nie mogła tego przemilczeć. Nie po tym wszystkim, co dla niej zrobili.  
- Proszę.  
Przyjrzał jej się uważnie i badawczo. Potem jego spojrzenie zmiękło jak płynna czekolada i westchnął z rezygnacją.  
- Niech będzie. Ale później będziesz się czuła głupio, kiedy włączysz komórkę i to zobaczysz.  
Zebrała myśli, a Cooper patrzył na telefon z kciukami w gotowości. A potem przemówiła powoli, by mógł nadążyć z pisaniem.  
- Drodzy Jill i Jamesie, nie mam słów, żeby wyrazić, ile dla mnie znaczyście. Przygarnęliście nas, kiedy nie mieliśmy niczego i nikogo. Pokochaliście nas jak własne dzieci.  
- Zakłuły ją oczy. Odchrząknęła. - Nigdy nie zapomnę, jak w soboty pomagałam ci robić ciasteczka z masłem orzechowym, Jill. Nawet do dziś to moje ulubione ciastka z powodu tych pięknych wspomnień. - Przerwała. - Czy to głupie?  
- Nie - odparł chropowatym głosem i skupił uwagę na telefonie.  
- Jim... Miałeś dość cierpliwości, by uczyć mnie prowadzić samochód, a nawet wymienić koło. Z tych i innych powodów jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. Święta Bożego Narodzenia w twoim salonie, niezliczone posiłki przy twoim stole w jadalni, modlitwy przy moim łóżku. Jesteś w centrum moich najlepszych wspomnień i kocham cię tak

bardzo, że brak mi słów, by to wyrazić. - Przerwała. - To wszystko. Podpisz moim imieniem.

Kiedy mu je przeliterowała, schował telefon do kieszeni. A potem długo patrzył jej w oczy. Coś się między nimi wydarzyło. Właśnie otworzyła serce przed nieznanym, a on zdawał się ją rozumieć.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie ma za co. A czy teraz możemy już skończyć z tą kłopotliwością i przejść do fajniejszych rzeczy? Na pewno mamy jakichś wspólnych znajomych. Znam trochę ludzi z Asheville: David Young, Evelyn Murdock, Richard Lewis...

- Richard był moim pastorem. Dobry człowiek.

- Nie byłem nigdy w jego kościele, ale tak. To dobry człowiek. A więc jesteś wierząca.

- Tak. - Przyjrzała się jego twarzy i coś w niej zmiękło. Wiedziała, że było w nim coś wyjątkowego. - Tak więc... no wiesz, jeśli spadnę z tego urwiska i zginę w płomieniach, przynajmniej będziesz wiedział, że zmierzam do nieba.

- Nie, nie, śmierć męczenniczki wcale nie jest dla ciebie. Umrzesz raczej w łóżku w wieku dziewięćdziesięciu lat, opowiedziawszy dzieciom i wnukom o tym, jak wiele lat wcześniej ledwo uniknęłaś śmierci, a pewien przystojny zastępca szeryfa cię uratował.

- Nazywasz to ratunkiem, zastępco? Ty tylko wysłałeś kogoś po pomoc i zadałeś mi kilka wścibskich pytań. I nie zapominajmy, że nadal wiszę nad wspomnianą wcześniej przepaścią.

Kąciki jego ust uniosły się w nikłym uśmiechu.

- Faktycznie uważasz, że jestem przystojny?

Prychnęła śmiechem.

- Jeśli pytasz, czy wolę patrzeć na ciebie zamiast na urwisko przede mną, to tak. I czy naprawdę powinieś ze mną flirtować w czasie pracy?

- Technicznie rzecz ujmując, nie jestem na służbie.

- Tak? No cóż, a ja mam...

Samochód przechylił się do przodu i to, co chciała powiedzieć uwięzło jej w gardle.